

SZKOLNICTWO WYŻSZE

W obecnym semestrze pierwszy raz od ponad dziesięciu lat dydaktycy i badacze nie są poddawani kolejnym odsłonom kolejnych reform nauki i szkolnictwa wyższego. Ten obszar był bowiem przez dekadę wdzięcznym przedmiotem zmian, w pierw wedy rekomendacji Barbary Kudryckiej, następnie Jarosława Gowina, którzy prowadzili niemal identyczną politykę. Motywowaną pogonią za Zachodem, bazującą na chęci urynkwienia badań, konkurowaniem o środki pochodzące z grantów, zarządzeniem projektami i zespołami w menedżerski i korporacyjny sposób. Próżno szukać jednak efektów, które wyznaczili reformatorzy. Polskie uczelnie bynajmniej nie wyrzuciły w międzynarodowych rankingach, Uniwersytet Warszawski i Uniwersytet Jagielloński znajdują się w piątej setce listy szanghajskiej.

Nauka w służbie milionów



BARTOSZ RYDLIŃSKI

Polskie uczelnie regionalne mogą odegrać niezwykle ważną rolę w zagospodarowaniu tysięcy ukraińskich studentów, więc nie powinny upaść – pisze politolog.

Upadek małych ojczyzn

W nierównej walce o niezbyt pokaźne środki na badania przyznawane między innymi przez Narodowe Centrum Nauki zwyczajowo wygrywają duże ośrodki akademickie, stawiając mniejsze uczelnie regionalne na straconej pozycji. W logice instytucji przyznających środki na badania (podobnie jak w bankach) większą szansę na kolejne projekty mają bowiem ci, którzy już realizowali wspomniane granty oraz posiadają wystarczającą badawczy kapitał startowy. Po przeszło dekadzie neoliberalnych reform nauki i szkolnictwa wyższego warto dokonać próby krytycznego spojrzenia na to, komu powinny służyć polskie uniwersytety i instytuty badawcze. W Polsce, podobnie jak w Niemczech, uczelnie odgrywają ważną rolę regionalną. W Rzeszowie czy Białymstoku, podobnie jak w Lubecie czy Trewirze, kadry się bowiem lokalne tworzą, kształcą się tam lekarzy, inżynierów, prawników i humanistów, których rola dla wspólnot samorządowych jest nie do przecenienia.

Wzmacnianie dużych i silnych ośrodków, chociażby poprzez nadawanie elitarnego statusu uczelni badawczej, skutkuje utrwaleniem naukowych podziałów, na których tracą mniejsze uniwersytety i politechniki. Bez odwrócenia tego trendu dni uczelni regionalnych będą policzone, zaś młodzież mieszkająca w województwach o mniejszych tradycjach akademickich zacznie masowo wyjeżdżać na studia do dosłownie paru miast w Polsce. Razem z nimi wyemigruje szansa na rozwój ich małych ojczyzn.

Ważnym czynnikiem dla znaczenia uczelni regionalnych są samorządy, które powinny wzmacniać badawczą siłę przetargową lokalnych ośrodków poprzez ścisłą współpracę przy realizacji własnych strategii rozwoju. Innowacyjność tak techniczna, jak i społeczna może rodzić się w laboratoriach i aulach młodych uniwersytetów i politechnik. Potrzeba do tego jednak ścisłej współpracy z politycznymi elitami województwa, powiatu, miasta, gminy – oraz odpowiednich środków na te cele.

Nie da się także ominąć dyskusji o miernym poziomie finansowania polskiej nauki. Wedle danych OECD Polska przeznaczą na badania i rozwój 1,3 proc. swojego PKB. Dla porównania Słowenia 2 proc., Francja 2,2 proc., zaś Niemcy 3,2 proc. swojego PKB. Warto, byśmy traktowali nakłady na naukę na równi z wydatkami na zbrojenia. W obydwu wypadkach mowa bowiem o naszym bezpieczeństwie. Dobrze finansowane uniwersytety medyczne, w których prowadzone są badania nad nowoczesnymi lekami i szczepionkami, zarządzaniem systemem ochrony zdrowia – stanowią polską rację stanu, także w obliczu wydarzeń mających miejsce za naszą wschodnią granicą.

Języki nauki

W celu rozwoju nauki warto rozluźnić anachroniczne podziały na dyscypliny naukowe. Bierzmy przykład z Zachodu, gdzie „ścisłowcy” coraz częściej współpracują z „humanistami” przy realizacji dużych projektów. Wyzwania przyszłości, takie jak robotyzacja, digitaliza-

cja, spadek liczby miejsc pracy w nowoczesnych gospodarkach, będą wymagać coraz częściej interdyscyplinarnej współpracy zarówno w samej dydaktyce, jak i badaniach.

Wyzwaniem, z którym mierzą się polska, węgierska, portugalska czy duńska nauka, jest kwestia popularyzacji wyników badań. Języki ojczyste nie powinny być wypierane w krajowych dyskusjach akademickich. Wręcz przeciwnie, to właśnie w tych językach rozpoczynają się rzeczy najważniejsze dla rozwoju krajowej nauki. Jednak w celu wejścia w obieg ogólnoeuropejski czy światowy niezbędne jest tłumaczenie najlepszych artykułów i książek na język angielski, będący łącznie współczesnej globalizacji.

Patrząc na totalne niezrozumienie Zachodu dla fenomenu sukcesów wyborczych Jarosława Kaczyńskiego czy Viktora Orbána, można odnieść wrażenie, że lektura opracowań polskich i węgierskich badaczy mogłaby przysłużyć się brukselem czy waszyngtońskim elitom politycznym, naukowym i medialnym. Prawicowy, autorytarny populizm nad

Dunajem i Wisłą nie spadł z nieba, lecz jest efektem gospodarczych niesprawiedliwości transformacji systemowej, ma swoje głębokie historyczne uwarunkowania, które ciężko zrozumieć bez znajomości polskiego czy węgierskiego.

Podobnie bez władania językiem włoskim polscy badacze mają ograniczoną szansę poprawnego zdekodowania źródła popularności Ligi Północnej. Na tych przykładach widać, że problem ma charakter ogólnoeuropejski, wymaga zatem działania na poziomie unijnym. Postulat wsparcia tłumaczeń na język angielski najlepszych artykułów i opracowań naukowych dla wszystkich państw członkowskich mogłoby stanowić dowód inicjatywności w polityce europejskiej, która niestety stanowi jedną z najsłabszych stron rządu PiS.

Ewaluacja i uchodźcy

Za parę miesięcy polscy badacze poznają wyniki ewaluacji jakości działalności naukowej. Od przyznanej poszczególnym dyscyplinom kategorii będzie

zależać przyszłość instytutów, wydziałów, ale także osobistych karier. Niestety w czasie przeprowadzanej oceny nastąpiły zmiany reguł gry, w tym punktacji czasopism. Instytucje grantodawcze od lat stanowią książkowy przykład braku transparentności, zaś ocena wpływu działalności naukowej na funkcjonowanie społeczeństwa i gospodarki już w swojej esencji zakłada uznaniowość.

Jarosław Gowin, będący pomysłodawcą reformy, nie tylko nie kieruje dłużej resortem, ale dodatkowo znajduje się poza obozem Zjednoczonej Prawicy. Przemysław Czarnek nigdy nie należał do zwolenników tzw. ustawy 2.0 oraz ze zrozumiiałych względów może nie chcieć firmować naukowej „doktryny szoku”. Dlatego dobrym rozwiązaniem w tych warunkach byłoby wprowadzenie abolicji dla tych ośrodków, które wypadną gorzej w tej ocenie. Ponadto jest to w interesie nas wszystkich, gdyż dydaktyczno-badawcze spustynnienie poza

Warszawą, Krakowem, Poznaniem, Gdańskiem, Katowicami, Wrocławiem i Toruniem będzie miało negatywne skutki na wiele dekad. W związku z napływem ogromnej rzeszy uchodźców do Polski uczelnie regionalne mogą odebrać także niezwykle ważną rolę w zagospodarowaniu tysięcy ukraińskich studentów. Władze państwowe będą musiały w końcu rozpocząć bardziej planistyczną politykę dotyczącą relokacji potrzebujących z uwzględnieniem realnych możliwości poszczególnych województw. Szczecin, Opole, Jelenia Góra oraz Słupsk mogą spełnić ważną rolę w odciążeniu Warszawy czy Krakowa, które dla wielu potrzebujących są punktem docelowym. Pozametro-politalne uniwersytety i politechniki powinny okazać się nie tylko bezpieczną przystanią dla naszych sąsiadów, ale także ich nowym naukowym domem do czasu wygranej nad putinowskim reżimem. /@

Autor jest adiunktem w Instytucji Nauk o Polityce i Administracji UKSW, współzałożycielem Centrum im. Ignacego Daszyńskiego

WOJNA W UKRAINIE

Turcja ma duży problem. Wydarzenia w Ukrainie zmuszają ją do zajęcia jasnego stanowiska. Wybór powinien być oczywisty i jednoznaczny, bo Turcja jest członkiem NATO od 1952 r., czyli prawie 50 lat dłużej niż Polska. Jej armia stanowi drugą po USA siłę całego sojuszu. Jest również zaawansowana technicznie, posiada nowoczesny sprzęt i potężną flotę. Udowodniła zresztą, że tego sprzętu nie zawaha się użyć, jeśli tylko zajdzie taka potrzeba. W 2015 r. Turcy zestrzelili rosyjski bombowiec Su-24M nieopodal granicy z Syrią. Rosjanie zdawali sobie sprawę z możliwych konsekwencji, ale zdecydowali się na przeprowadzenie prowokacji, jak to mają w zwyczaju. Przekonali się wówczas, że z Turcją nie ma żartów, i Ankara zyskała szacunek Moskwy, bo co może zaimponować brutalnemu reżimowi, jeśli nie argument siły. Od tego momentu nastąpił najlepszy okres relacji rosyjsko-tureckich.

Pierwsze lata rządów AKP (Partii Sprawiedliwości i Rozwoju) można postrzegać jako

Ankara czeka na ofertę

KAMIL KOZAK

W interesie Zachodu leży szybkie przeciągnięcie Turcji na swoją stronę barykady – pisze orientalista i politolog.

znaczące zbliżenie się do Zachodu. W 1999 r. Turcja uzyskała status państwa kandydującego do Unii Europejskiej. Na tej ścieżce była prymusem. Europa nie potrafiła się jednak zdecydować, czy chce przygarnąć muzułmańskie państwo, które przecież w 97 proc. leży w Azji. Wspólnota obawiała się niekontrolowanego napływu pracowników. Negocjacje akcesyjne utknęły więc w martwym punkcie, a europejski entuzjazm Turcji zaczął niknąć. W końcu opadł zupełnie. Turcja stała się stopniowo outsiderem działającym wyłącznie we własnym interesie.

Kluczowym momentem reorientacji tureckiej polityki

zagranicznej stał się nieudany zamach stanu z 2016 r. Wtedy bardzo pogorszyły się relacje na linii Ankara-Waszyngton. Turcja postanowiła zaangażować się bardziej w politykę wschodnią, jej potrzebom wyszły naprzeciw Rosja i Iran – reżimy wręcz uczulone na Zachód i jego wartości. Dla Turcji sojusz z nimi ma jednak wyłącznie charakter pragmatyczny, to związek bardzo nietrwały, o czym wiedzą wszyscy partnerzy.

Co w tej sytuacji dla Ankary oznacza konflikt rosyjsko-ukraiński? Turcja nie bardzo wie, z kim bardziej oplaca jej się zadawać. Prezydent Erdogan to wytrawny gracz – po-

trafi balansować pomiędzy różnymi stronnictwami na arenie międzynarodowej, czerpiąc z tego jak największe korzyści. Jak tu jednak balansować, kiedy główni partnerzy oczekują nagle albo natychmiastowego potępienia rosyjskiej inwazji i udzielenia pomocy Ukrainie, albo uznania niepodległości separatystycznych republik w Donbasie?

Jako członek NATO Turcja wykonała na początku ukłon w kierunku Zachodu. Oficjalnie potępiła rosyjski atak, a także ostatecznie zamknęła cieśninę dla rosyjskich okrętów. Dostarczyła również do

Ukrainy drony oraz wyrzutnie Javelin i Stinger. Na tym jednak Ankara poprzestała, nie dołączyła się do sankcji. Postanowiła zrównoważyć niejako wcześniejsze jawnie prozachodnie działania i przyjąć rolę mediatora, bardziej przychylnego Ukrainie, ale jednak stara się zapewnić obu stronom arenę do dyskusji, jednocześnie nie zajmując mocnego stanowiska.

Wydaje się, że Turcja znalazła się w kluczowym dla swojej przyszłości momencie, ma teraz niepowtarzalną szansę ponownego zbliżenia się do Zachodu i odesłania w niepa-

mię ostatnich lat obustronnych niesnasek. Stąd nadzwyczaj ożywione działania tureckiej dyplomacji. Nie bez powodu w terminarzu spotkań prezydenta Erdogana znalazł się ostatnio Andrzej Duda. Turcja może próbować wkraść się ponownie w łaski właśnie za pośrednictwem innych, mniej pokornych członków Unii Europejskiej. Można w przyszłości wyobrazić sobie scenariusz, kiedy to będącą w dobrych relacjach z Ankarą Polska stanie się w Brukseli orędownikiem sprawy tureckiej.

Turcja często już potrafiła się z Europą dogadywać – nawet gdy wzajemne relacje daleko odbiegały od serdecznych. Tak było choćby podczas kryzysu migracyjnego w latach 2015–2016, kiedy to przyjmując sówite unijne honorarium, zatrzymywała na swoich granicach syryjskich uchodźców. W interesie Zachodu leży jak najszybsze przeciągnięcie Turcji na swoją stronę barykady. Ruch ten może się okazać decydującym momentem wojny. Ankara wie, że może bardzo dużo zyskać. I czeka na ofertę. /@

